

Won, ale już, wypad, wypad, wyjdź, po polsku nie rozumiesz?! Wydaje ci się, że można ot tak, ni z gruchy ni z pietruchy otwierać drzwi (!! do człowieka i gramolić mu się do środka? Że ktoś dał ci prawo wpełzać w głąb, w de facto najintymność, szlajać się (sic!) pomiędzy narządami swojego kolegi z roboty, co ty sobie w ogóle myślisz — że będziesz tak włąziła jak do siebie?! Swoje głębie weź i zgłębiaj, kretynko, najlepiej — palcami.

...dokumenty? Jakie? Nie ma i nie było żadnych dokumencisk, wszystko, co tu widzisz, ślepa krowo, to mo-je cia-ło!

...Bednarczuk? A co on ma, do jasnej cholery, wspólnego...

...jakie "zwariowałem"? Wdzierasz się po prostu, tak — wdzierasz w człowieka i jeszcze śmiesz coś warczeć?!

...nawet nie waż się ruszać, to moje ciało, krew, kurwa, jucha, kawa. płyn ustrojowy... czego nie rozumiesz, debilko?

I wyszła, nieźle skonfundowana, zaniepokojona... wręcz przerażona, sekretarzyca. Wyszła w pośpiechu, niemal wybiegła z pokoju, który był częścią boskiego, polimorficznego ciała.

Wróciła po parunastu minutach. Z koleżankami. Maryśka, Bożena, Kinga, no i ona — Agata o florystycznym nazwisku. Otoczyły obrotowe krzesło, na którym siedział samozwańczy władca materii, zaczęły wypytywać, ze co ty, Krzysiek, żartujesz, jesteś naćpany, powiedz, co brałeś i — Jezu! — szybko idź do domu, zanim cię szef nie widział, bój się Boga — w takim stanie do pracy przychodzić! prosisz się o mega kłopoty, co najmniej o dyscyplinarkę, myślisz, że Bednarczuk choć raz jedyny ci podaruje TAKI numer? Przecież wiesz, jaki on jest, na zbitą mordę wyleje, jeszcze wezwie policję z alkomatem, pojedziesz na izbę wytrzeźwień, po co ci to, Krzysiek, jeny, chyba zwariowałeś do reszty, aleś się zaprawił Celina przecież będzie w szoku, no, już, wstawaj, odwiozę cię do dom, coś się wymyśli, nagły atak wyrostka, ślepej kiszki, jaką-kurwa-kolwiek inną chorobę, nagle cię wzięła niedyspozycja i nie byłeś w stanie wytrzymać do czwartej, ledwie siedziałeś, wileś się z bólu, no — tak się powie, wstawaj, zawiozę...

...a on — że nie, jeszcze czego! Same się wynoście, z klatki, w zasadzie, piersiowej, no, już! Nie zalegać mi w oskrzelach, nie przelewać się w zatokach, to moje ciało, won, won, wypierdalać, won!

Zaperzył się, zacietrzewił, wkurwił, aż posiniał na twarzy, Krzysztof-Bóg-Kujawa, biurocielesny deus-księgowus. Awantura zaczęła się wywiązywać na całego, imbisko wielkie, dorodne, soczyste. Wrzask niósł się po korytarzach Poli-Trans-Hurtu, jakiego nigdy w poczciwym biurówcu nie słyszano, wsiąkał w mury. Jak lew bronił Krzysiek swojej odrębności, każdego papierka, segregatora, każdego kawowego fusa, który, według oczadzeńca, by, oczywiście, częścią jego ciała.

Ryczał, niczym zarzynane zwierzę, naczelny ateusz, bluźnierca i demaskator zabobonów, gdy (z czystej przekory) Bożena Aniszewska próbowała dotknąć choćby okładki, jednym paluniem, opuszką, najnowszego wydania "Buchaltera — miesięcznika księgowego".

Autentycznie nie rozumiało, do niedawna — kute na cztery kopyta — cwaniaczysko, co ci wszyscy ludzie robią w jego bebechach, po kiego grzyba powłazili mu we wnętrzości i co, do kurwy nędzy, zamierzają tam robić.

Babiska — o, a teraz i dwóch facetów, bo Radek z Marcinem, zaniepokojeni wrzaskami, podosłupiali, stanęli w drzwiach niczym glisty, tasiemce uzbrojone, egzo-pasożyty, odśrodkowcy.

Tłoczą się w jestestwie Krzyśka, nowi, coraz nowsi mu włączają w jaźń, czego, no-cze-go do choroby ciężkiej chcecie?! Nie widać, naprawdę nie ogarniacie, że to mój mózg, osobowość, psychika? W ciało i w ego mi wchodzić, bez pytania, nieproszeni, wypędzam, wyganiam, jak tylko mogę, usiłuję się bronić przed kurewskimi natrętami, a wy... jak te drapieżniki, Wandalowie, wandale, masakratorzy, psuje kurewskie, ciemne i durne, nie mające pojęcia, czym jest unia hipostatyczna...

— Ani się waż, suko! Zostaw! Gdzie z łapami, nie po żebrach!

...najmocniej, bo z piąchy na odlew, pięknego prawego sierpowca oberwał, oczywiście, szef. Ledwie zdążył wejść, z marsową miną, już-już miał pytać, co tu się, do jasnej cholery, wyprawia, jak... łup.

I pękła warga, dziąsło i w miarę nowa, bo ledwie dwa tygodnie wcześniej odebrana od protetyka, sztuczna szczęka pana Bednarczuka.

Pandemonisko, małe i kameralne, ograniczone do jednego pokoju w biurowcu Poli-Trahs-Hurtu miało miejsce, mikropiekiełko.

W ferworusiu, w zamieszaniu, podczas szarpaninki, obezwładnianeczka Krzyśka o wielu naturach, wyłała się jego cielesna (sic!) kawa, stłukł współlistotny z nim kubek, rozsypały się po podłodze i zostały haniebnie, bez cienia szacunku podeptane, krzyškocieleśne zszywki i spinacze.

Radek Terliński — wiadomo: chłopisko potężnie zbudowane, pudzianowate, pakeropodobne. Wpadnie taki szafokształtny w nerw — to nie ma zmiłuj: w góra pięć minut poskłada prawie każdego. Toż on sambo, kendo, kraw-magę, czy co tam ćwiczył i ćwiczy, karate studiuje, z siłowni prawie nie wychodzi, no, chyba, że do pracy, kościoła, albo spotkania tych tam... Żołnierzy Chrystusa.

Podbiegł, kulturysta różańcowy, lutnął raz, a dobrze. I padło się Krzyškowi bez przytomności, tuż obok cielesnego biurka. I przydzwoniło się potylicą we współlistotny z resztą jego ciała, kaloryfer. Rozkrzyczała się, nieco gardłowo i bez słów, Kinga, stażystka. Moja dziewczyna. I miałem niezły ubaw, gdy opowiadała mi, jak błagał ratowników medycznych, bożek meblowy, by nie zabierali go w takim dezabilu, niekompletnego, nago, choć w ubraniu, ale co z tego, skoro bez najistotniejszych części składowych, bez ponad połowy narządów!

Chciał jechać do szpitala z komputerem, biurkiem, milionem faktur w segregatorach, przebąkiwał nawet o wyrwaniu kabli ze ścian, bo to przecież jego żyły. Światłówki? Też chciał zabrać, rolety, więcej: całe okno! A bez krzesła obrotowego, co miało stanowić chyba przedłużenie jego dupska, wręcz ruszyć się nie chciał! Musieli go na siłę odrywać, bo żadna perswazja nie pomagała, a nikt nie będzie się przez pół dnia bawić w negocjatora i użerać z pomyłkiem. Za bety wywlekli, ledwie oprzytomniałego pantheosa o wielu naturach.

...do dziś siedzi na Marczewskiego, Celina, zapłakana, często go odwiedza. Wychodzi, podobno, z płaczem, gdy on, ciągle i ciągle żąda, domaga się przywiezienia choćby jednego spinacza, zszywki, pół skorupy ciałokubka, choć garści fusów z kawy, która była i jest jego krwią, duchem i ciałem.

...nie daje się nabrać, natychmiast rozpoznaje fałszywe, obce, podstawione fusiska. MAJĄ BYĆ TE — I KONIEC.

...jaki kijek? Schizofrenia późnoobjawowa — i tyle... — idzie w zaparte zagadnięcia Celina. Wstydzi się, może przed samą sobą boi przyznać, że to, co spotkało Krzyśka jest wynikiem działania sił nieczystych, czarnych, kosmatych, oślizgłych i paskudnych nadprzyrodzeństw. Że paranormal activity, kłątwa i sam jest sobie winny jej mąż. Nie trzeba było chojraczyć, wsadzać sobie patyka...

III. Gremia

Czają się w zakamarkach naszej miejsciny, uważnie lustrują każdego. Nikt i nic nie ujdzie ich uwadze.

Wszechwzroczni, niewidzialni obserwatorzy. Gapiciele.

Podejrzewam, że gdyby się zmaterializowali, okazałoby się, że z wyglądu przypominają karykaturalne monstra, zupełnie niestraszne potwory. Że to widziadła z campowych bajek, wronoludy różowopióre, zbrokaciale, klaunie strachy na Lachy, demony-pajace.

Są, jak czuję, wklęci w to miasto, nie tyle kładą się na nim cieniem, co wyrastają z niego, zapuszczają w nim korzenie. Zmory dziobate obsiadające przekłętą patyczek, wbijające szpony w... imiona tutejszych pupilów domowych. No nikt nie nazwie psa, czy kota normalnie, nie ma u nas Burków, ani Mruczków, Reksów, czy Filemonów, są za to... Zebymanieni, Ruż-ruzie, czy inne Harwanektole, a dajmy na to Jacek,

mój sąsiad, nazwał bernardyna... Kubek-Łomonosow (WTF?).

Pół biedy, że niewytłumaczalne dziwactwo tyczy jedynie imion zwierząt, jeszcze (?) nikt nie wpadł na świątły pomysł ochrzczenia córki Magapareza-wiw, albo syna — Trą-cięcię-noli.

Potrzeba oryginalności za wszelką cenę? Gdzie tam! Działanie sił nieczystych! W końcu nikt, zapytany, nie potrafi logicznie, albo i nie, jakkolwiek uzasadnić, czemu nazwał uroczonego kundelka By-wywrotowiec, lub kanarka Rujścień.

Jak nic — bawią się nami przerysowane lica, wnikają — a to w ciągle kreślących nowe linie-rany, wytyczających niepotrzebne ulice, skwery, placyki, bulwarzeta, psychoplanistów, a to w kobiety. I każą je, ośmieszają, mutują.

Coraz mniej dzieci rodzi się w naszym — paradoksalnie — coraz gęściej zaludnionym miasteczku. Za-gęszczacze stanowią element napływowy z okolicznych wsi. I dobrze. Dochodzi do mieszania się genów, rozrzedzają się (chcę w to wierzyć!) toksyny, maleje trucicielska, zła moc, siła jadu. Kwas (oby!) zmienia się w winny ocet.

Gdyby z jakiegoś powodu zamknięto miasto, ogrodzono je murem (oho — zaczynam tworzyć coś na kształt fabuły opowiadania z gatunku deidylicznych antyutopii!), kategorycznie zakazano opuszczania enklawy-obozu koncentracyjnego — myślę, że w przeciągu paru lat, za sprawą chowu wsobnego, zmienilibyśmy się w populację mutantów, takich z filmowego "harcydziela" "Wzgórza mają oczy". Rodziłyby się coraz bardziej zniekształcone osobniki...

...albo i nie, nasze kobiety, jedna po drugiej, zapadałyby na przeklęty zespół Stiffenmayera-Lüsa, zamiast progeniturasów... jak moja Kinga... ech. Co zrobić? Lekarstwa podobno na cholerne zaburzenie nie ma i w najbliższej przyszłości nie będzie. Nowa, tyleż dziwaczna, co groźna i paskudna choroba... ubezplodniająca...

Płakać się po prostu chce, najzwyczajniej, jak kilkulatek, który niechcący popsuł ulubioną zabawkę, któremu spierdzielila się konsola, rozkwasił się wyświetlacz gameboxa, urwała łepetyna misia przytulanki.

Mam ochotę słozować, paść tuż obok łóżka, taczać się zasmarkany, zapluty, puszczać bańki z nosa i walić z bezsilności pięściami w podłogę. Łbem tłuc, drzeć na sobie ubranie — w zasadzie też bym chciał, gdyby to tylko pomogło w czymkolwiek, wyleczyło Kingę z... kulkozy.

Biedna, nieuleczalna Kiń, z której drwią maskarony. Guzorodna, bezdzietna (!) wieloródka, moja kochana Kingula, co za każdym razem, gdy uprawiamy seks zachodzi w ciążę mnogą, a potem... aż pisać o tym ciężko. Wysypują się z niej, parędziesiąt godzin później, mięsne kulki, pseudo-potworniaki wielkości kurzych jaj. Kosmate i pomarszczone "dzieciaki", którym nie dane było się normalnie rozwijać. Zmutowane, zdegenerowane w macicy (aż chciałoby się napisać "związane na supełki") para-płody, przerośnięte zygoty wypadają z niej, robiąc tyleż zabawne, co wywołujące rozpacz "kszszszszzsz, kszzszszzsz". Albo "dęęęę", gdy — rzadko, to rzadko, ale zdarza się — są usuwane razem z moczem, uderzają o porcelit muszli klozetowej.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 19.07.2021 19:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.